

Mówi Halina Królikiewicz-Kwiatkowska

Zapowiadał się świetny aktor



Halina Królikiewicz-Kwiatkowska, aktorka Starego Teatru, pedagog PWST w Krakowie

własny, filozoficzny utwór na swój sposób — prosto, po męsku, mądrze i rozumiale. Stroniąc o egzaltacji,

która wówczas była modna i w filmie, i w teatrze. Spotkaliśmy się ponownie na „Ujocie”, razem studiowaliśmy polonisty-

Jak zaczęła się pani przyjaźń z Karolem Wojtyłą?

Chodziłam do gimnazjum żeńskiego w Wadowicach, a Karol uczył się w gimnazjum męskim. Z inicjatywy polonisty Mieczysława Kotlarczyka powstał międzyskolny teatr dramatyczny, który wkrótce stał się naszą pasją. Graliśmy trudne sztuki, a przedstawienia były na całkiem niezłym poziomie. Prawie we wszystkich główne role grał Karol, najzdolniejszy ze szkolnych aktorów i najzdolniejszy uczeń.

Jak pani dzisiaj ocenia te teatralne popisy?

Byliśmy młodzi i zafascynowani teatrem. Pamiętam, że wygłaszałyśmy swoje kwestie z rozpalonymi policzkami, mimo że w „Antygonie” z szelestem osuwały się doryckie kolumny z papieru, przypięte do ściany pinezkami, a w najbardziej dramatycznych momentach „Balladyny” spora część wygłodniałych uczniów, nie mogąc doczekać końca, pobięła do domu na obiad. Przeważnie bowiem graliśmy lektury obowiązkowe podczas zajęć szkolnych. Nasze „Śluby panińskie” odniosły wielki sukces. Jeździliśmy jakąś ciężarówką do Andrychowa i Kęt, widownia pękała w szwach, rozpiekało nas szczęście.

Czy Karol Wojtyła jako aktor wyróżniał się czymś szczególnym?

Podziwialiśmy jego fenomenalną pamięć. Pamiętam zwłaszcza jeden epizod. Otóż kolega, któremu przydzielono rolę nikczemnego Kostryna w „Balladynie” na dzień przed premierą został przez mojego ojca, dyrektora gimnazjum, zdjęty z obsady za niesmaczne wygłupy — ponoć groził jakimś straszakiem jednemu z profesorów, że go zabije, jak otrzyma dwóję. Przed nami otworzyła się

otchłań, tymczasem Karol, nasz Kirkor, oświadczył spokojnie, że zagra obie role. I zrobił to bez próby i zmyłki. Nie zmienił w tekście ani jednego słowa, choć mówił wierszem jedenastozgłoskowym. Wszystko wskazywało, że zostanie aktorem. Był dobrze zbudowany, obdarzony pięknym głosem i wrażliwością. Jak na kilkunastoletniego chłopca grał bardzo trudne sztuki: „Nie-boską komedię” Krasieńskiego, „Kordiana” Słowackiego, „Zygmunta Augusta” Wyspiańskiego. Kiedy kardynał Sapieha, zauroczony tym pięknym głosem, zapytał naszego katechetę, czy przypadkiem chłopiec nie wybiera się na teologię, ten tylko się uśmiechnął: „Skądże, jemu tylko teatr w głowie.”

Odnoszę wrażenie, że młodzi w Wadowicach była bardzo ambitna.

Wadowice były małym miastem, lecz niezwykle prężnym kulturalnie. Mieliśmy tam również sąd i XII pułk piechoty. Niedaleko był Kraków. Jeździliśmy tam często, bo Osterwa prowadził w Krakowie teatr dla młodzieży szkolnej. Kilka lat później, widząc grę Karola, skomentował krótko: „Zapowiada się nadzwyczajny aktor”. Jeszcze widzę i słyszę, jak Karol recytuje „Promethidion” Norwida. Stoi z lekko pochyloną głową, wbity w skromny, szkolny mundurek. I mówi ten arcytrud-

kę. Jaki był? Inny od swoich kolegów, a na naszym roku studiował Tadeusz Hołuj, Wojtek Żukrowski, Julian Kydryński, starszy brat Lucjana, i mój przyszły mąż Tadeusz Kwiatkowski.

Uważaliście go za dziwaka?

To złe słowo, raczej za kogoś odrębnego. Co to znaczy? Trudno wytłumaczyć, to się czuło. Był przecież wesoły, bardzo koleżeński, pierwszy niósł pomoc w nieszczęściu. Ale miał też swój niedostępny świat myśli, czytał trudne książki filozoficzne, które nas zdruzzyłyby po kilku stronach. Pisał dramaty, wiersze i zawsze sam je czytał na poszych studenckich wieczorach poetyckich, bez nadmiernego patosu, typowego dla młodych poetów.

A jakie miał wady?

Dziennikarze często o nie pytają. Nie wiem, nie znam. Do gimnazjum biegł trzy minuty przed ósmą rano z pobliskiego rynku, obok którego mieszkał, wpadał w ostatniej chwili do klasy z wielką, rozwichrzoną gęstwą włosów, które nigdy nie chciały go słuchać. Na polonistyce dla rozweselenia studenci puszczali w obieg fraszki na profesorów. Były to niezbyt wyszukane wierszyki w rodzaju „Damy słuchaczowi rząd i konia, kto zrozumie wykłady Pigionia” albo „Starszy asystent Kazimierz Wyka wyklada na poziomie «Płomyka»”.

Wszyscy pękali ze śmiechu. Kiedy Karol dostawał taką karteczkę, wzruszał tylko ramionami, patrząc na twórców z politowaniem.

Nie był duszą towarzystwa?

Ale nie był to typ ponuraka. W jego oczach zawsze błyskały iskierki czy to humoru, czy jakiejś ironii albo wyrozumiałości, kiedy słuchał innego człowieka. A słuchał uważnie, nigdy nie pouczał i nie potępiał, ale zawsze rozumiał. Emanował charyzmą. To się czuło. Po pierwszym roku polonistyki nikt jeszcze nie przypuszczał, że wybuchnie wojna. W „Gołębniku”, jak nazywaliśmy nasz uczelniany budynek przy Gołębiej 20, ktoś wywiesił plan zajęć na II rok. Karol przejechał palcem po planie zajęć i powiedział do siebie: „Nie, to nie jest to.” Wtedy nikt z nas nie domyślał się, co mogą znaczyć te słowa. Nie podjął już studiów na II roku. Niemcy zajęli Kraków. Zaczął pracować w kamieniołomach należących do fabryki „Solway”. Zajęcie chroniło przed wywózką na roboty do Rzeszy. W najmroźniejsze zimy, gdy temperatura spadała do minus 30 stopni, rozbijał młotem wapienne skały i ładował widłami na wózek wąskotorowej kolejki.

Porzucił polonistykę czy również porzucił swój ukochany teatr?

W sierpniu 1941 roku rozpoczęliśmy próby Teatru Rapsodycznego. Odbwały się w „katakumbach”, jak nazywaliśmy mieszkanie Karola przy Tynieckiej, które mieściło się w suterenie. Mieczysław Kotlarczyk, założyciel naszego teatru słowa, mieszkał tam z żoną. Pracowaliśmy, rzecz jasna, bezinteresownie. Mitek i Karol grali role wiodące, a my, trzy kobiety: Danusia Michałowska, Krysia Ostaszewska i ja, stanowiłyśmy rodzaj chóru, naprawdę perfekcyjnie zgranego. Graliśmy w zaprzyjaźnionych domach u ludzi, którzy nie bali się wpuścić młodych aktorów, recytujących słynne strofy: „Oczyżno... ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił”. Wchodziliśmy i wychodziliśmy z domów pojedynczo. Był to okres największych wywózek, na kioskach widniały listy Polaków skazanych na rozstrzelanie. Czuliśmy się wówczas jak średniowieczni rapsodowie, którzy w czasie wojen szli po siołach, śpiewając pieśni o bohaterstwie dla podtrzymania ducha podbitych ludów.

Jak to się stało, że Karol Wojtyła wybrał jednak inną, dużą trudniejszą drogę?

Nie wiem. Kiedy w roku 1942 oznajmił, że idzie na teologię, spadło to na nas jak grom. Chciał nawet zamknąć się w celi klasztornej. Tadeusz Kudliński, pisarz i nasz duchowy opiekun, próbował go odwieść od porzucenia teatru. Powoływał się na przypowieść o bożych talentach, które trzeba pomnażać. Bezskutecznie. Ale może pod wpływem wielogodzinnej rozmowy Karol porzucił myśl o surowym zakonie i wstąpił do konspiracyjnego seminarium duchownego w Krakowie.

Rozmawiała
EWA KAJETAN